

Barbara Krafftówna



Moje życie było gęste

Rozmawiała MONIKA STUKONIS

Uwielbiana przez widzów Honorata z „Czterech pancernych”, gwiazda Kabaretu Starszych Panów. Niedawno świętowała jubileusz – 60 lat pracy na scenie. Wszyscy pamiętają jej genialne role, mało wiadomo o życiu prywatnym. Tylko w VIVIE! Barbara Krafftówna opowiada o dzieciństwie spędzonym na kresach, niezwykłych miłościach i wielkich tragediach, które naznaczyły jej życie.

Pisano o Pani: „Krafftówna ma lutka, piegowata, charakterystyczna...” Patrzę na Panią i zastanawiam się, gdzie się podziały te piegi?

(Śmiech). Bo ja tak naprawdę nigdy nie byłam piegowata. No, może trochę na ciele. O, proszę zobaczyć na moją rękę – są, ale jest ich coraz mniej. Zawsze dużo się malowałam na scenę. Wciąż miałam na sobie grubą warstwę fluidów, podkładów, szminek, może to one ochroniły moją twarz przed gwałtownym starzeniem. Mam 78 lat, a wydaje mi się, że nieźle się trzymam (śmiech).

– Powiedziała Pani niedawno: „Moje życie było nie mniej ciekawe od życia Marleny Dietrich...”

Mogę to powiedzieć bez zbytniej chyba zarozumiałości: moje życie rzeczywiście było bardzo gęste. Pracowałam z największymi: Przyborą, Wasowskim, Hasem, Dejmkiem, Wajdą, Kutzem, Axerem, Jędrusik, Kwiatkowską, Łomnickim, Gołasem, Michnikowskim, Kobuszewskim, Dudkiem Dziewońskim. Zmieniałam teatry, sceny, miasta i kontynenty...

– Kazimierz Kutz powiedział podczas Pani jubileuszu, że jest Pani z pokolenia aktorskiego, które już odchodzi. Ludzi pełnych klasy, kultury, manier. Nic dziwnego, pochodzi Pani z dobrego, przedwojennego warszawskiego domu...

Nadal nie mogę ochłonąć po tym jubileuszu. Tyle serdeczności... Oczywiście wpływ rodziców i domu był na mnie pierwszorzędny. Na co dzień zajmowała się mną mama, która bardzo wnikliwie i starannie prowadziła moje wychowanie. Matka miała słuch absolutny, grała na skrzypcach, pianinie, przepięknie śpiewała. Była z pokolenia, które kształciło się w sztukach pięknych dla własnej przyjemności i rozwoju. Mieszkaliśmy przed wojną na Wspólnej. Moją parafią był kościół św. Barbary. Tata, architekt, miał niezwykłą wyobraźnię, która emanowała na mnie i całą naszą rodzinę.

– Była Pani „pępkiem świata”?

Wychowywałam się w rodzinie typu „moje, twoje i nasze” i ja byłam to „nasze”. Ojciec z pierwszego małżeństwa miał dwóch synów, mama miała córkę, a ja byłam jedynym ich „wspólnym dzieckiem”. To były skomplikowane czasy, po różnych zawirowaniach pierwszej wojny światowej. Pierwszy mąż mojej matki zginął na wojnie, a ona została sama z małą córeczką; ojciec owdowiał w młodym wieku na skutek ciężkiej choroby żony. Został z dwoma małymi chłopcami. Ciekawostką było to, że pierwszy mąż mojej matki i pierwsza żona mojego ojca to było rodzeństwo. Jeszcze przed ich śmiercią rodziny się znały i były ze sobą związane, ale moja mama i ojciec nie byli ze sobą spokrewnieni, dlatego mogli się pobrać ▶



U góry od lewej:
w 1932 roku; zdjęcie ślubne
z mężem Michałem Gazdą,
1953; przed Teatrem
Dramatycznym
w Warszawie, 1960.
Obok: w warszawskim
mieszkaniu, 1970;
syn Piotr z żoną
Katarzyną i wnukiem
Michałem, Urle 1985.

ANDRZEJ WIERNICZ/ŁAST NEWS

ARCHIWUM RODZINNE

ROMUALD BRONAREK/FORUM

ELŻBIETA LUKASZEWICZ

„Ten zawód nie polega na pięknej sylwetce. Przerwa na macierzyństwo też jest naturalna, bo daje fantastyczny dystans do tego, co robimy. Oczywiście musiałam po przerwie rozćwiczyć się, ale ja pilnuję się całe życie. Ćwiczę wokalizę, kontroluję wagę, gimnastykuję się codziennie, ćwiczę jogę”.

i mieć dzieci. Mój ojciec był naczelnym architektem Wołynia i tam na co dzień urzędował. Przez kilka lat funkcjonowaliśmy na dwa domy. W pewnym momencie matka zdecydowała się ze mną przenieść na Wołyn, do Łucka. Maria, moja przyrodnia siostra, skończyła studia, wyszła za mąż za inżyniera melioracji z Wołynia. Wszystkie trzy wyjechałyśmy przed wojną na kresy. W czasie okupacji uciekliśmy do Warszawy przed Sowietami.

– O czym marzyła Pani jako dziecko?

W marzeniach pisałam scenariusze. Wielkie wrażenie robiły na mnie filmy z Shirleyką (Shirley Temple – dziecięca gwiazda Hollywood z lat 30. i 40. – red.). Przepiękne, zjawisko artystyczne. To właśnie ona zainspirowa-

ła mnie do budowania własnego, przetworzonego w wyobraźni świata.

– Największy wpływ na Pani życie miała mama. Była silną osobowością?

Zdecydowanie tak. Pamiętam, że zawsze i wszędzie na mnie patrzyła. Patrzeniem, a nie słowem zwracała mi uwagę, że źle siedzę, zachowuję się czy mówię. To wyrobiło we mnie ogromną samokontrolę, przydatną potem w życiu zawodowym. Ale cechy matki to były cechy całej generacji przedwojennej. Ja, wychodząc z domu, nie wpadałam w świat chamstwa czy wulgarności, bo świat był pełen norm i zasad, które obowiązywały na co dzień, w każdej sytuacji.

– Musi Panią boleć dzisiejszy świat?

Tak, dlatego od ponad 10 lat nie mam telewizora, nie posługuję się telefonem komórkowym.

– To obrona własnej wrażliwości?

Oj, tak. Mam czas na siebie, na życie towarzyskie, na książki, na chodzenie do teatru, oglądanie kolegów. Nie wyobrażam sobie godziny, dwu spędzonych przed telewizorem. Dla mnie to szalenie rozleniwiające, jałowe. Oczywiście jeśli coś chcę zobaczyć, to sobie „tę telewizję” organizuję – wpadam do przyjaciół, sąsiadki. W ten sposób obejrzałam niemal wszystkie pielgrzymki papieża, arcydzieła filmowe. Na resztę szkoda życia.

– W czasie okupacji siostra Maria Zakrzewska zaprowadziła Panią na tajne komplety aktorskie do słynnego studium Iwo Galla w Warsza-

wie. Jego osobowość zaważyła na całym Pani zawodowym życiu?

Gall nauczył mnie wszystkiego, co wiem o teatrze. Gall to było skondensowane połączenie ducha paryskiej bohemy i cesarskiego Wiednia. To on nauczył nas skromności i pokory, które w tym zawodzie trzeba nosić w sobie całe życie. Gall potrafił przyciągnąć do siebie niezwykle pięknych ludzi i doskonale ich prowadzić. Kształtował nas w poważnej dyscyplinie, ale obudowane to było niezwykłą kulturą i czarem jego żony Haliny.

– Gall mówił do Pani, że całe życie będzie Pani grała role charakterystyczne, że nie ma Pani warunków amantki...

Och nie, on takich rzeczy nigdy nie mówił, to byłoby szalenie niedelikatne.

– Ale dziś profesorowie Akademii Teatralnej mówią takie rzeczy bez ogródek, są wobec studentów bezlitośni.

Gall nigdy by nikogo nie uraził. Zwracał uwagę na rzeczy, nad którymi warto było popracować, ale nigdy wprost, nie tak bezpośrednio. Mówił o czymś tylko wtedy, gdy wiedział, że pewne niedoskonałości czy „upośledzenie” w mówieniu można było zlikwidować pracą.

– Za pierwszego męża, aktora Michała Gazdę, postanowiła Pani wyjść za mąż po dwóch tygodniach znajomości. Ponoć połączył Was pochod pierwszomajowy...

Tak, 1 maja nieśliśmy razem szturmówkę z napisem „Niech ży-

mu dwoma innymi tramwajami. Dlaczego?

To był rodzaj żartu, psikus, który chcieliśmy zrobić jednej z koleżanek, która słyszała z tego, że wie wszystko. Zakładaliśmy się z Michałem, czy się uda ją przechytrzyć. Gdy pokazaliśmy w teatrze metrykę ślubu, Czesław Wołłejko krzyknął bezgranicznie zdziwiony: „No i patrzcie, Michał podgaździł nam Baśkę!”

– Dwa lata później została Pani mamą. Jak zmieniło Panią macierzyństwo?

Narodziny Piotrusia to był absolutny, niewyobrażalny dar od Boga, nie do zastąpienia niczym innym. Największa nagroda, najwspanialsza rola.

było nic nadzwyczajnego. To, że podchodzi do mnie ludzie i gratulują młodego wyglądu, to jest sprawa nie tylko dbałości o siebie, genów, ale wiedzy na temat własnego ciała.

– Tuż po narodzinach synka Pani kariera niesamowicie przyspieszyła. Grała Pani wielkie role w Teatrze Dramatycznym, Kabarecie Starszych Panów, zagrała Pani główną rolę w „Jak być kochaną” u Hasa. Kto zajmował się synem?

Mąż. Najpierw przez pięć lat pomagała nam też moja mama, potem znaleźliśmy wspaniałą opiekunkę.

– Młoda Pani poczuła winy, że za mało czasu jest z dzieckiem?

Wszystko miało być zjedzone, żadnego grymaszenia. Ustaliła godzinę obiadu i nie wolno nam było z mężem się spóźnić.

– Pani robiła karierę, zdobywała nagrody, uznanie, mężowi w zawodzie nie wiodło się nadzwyczajnie. Nie cierpiał, że jest na drugim planie?

Nadrabiałam to, jak mogłam wdziękiem i wielką miłością. Wydaje mi się, że nie cierpiał, wręcz przeciwnie, był moim napędem, motorem. Gdy chciałam odrzucić ważną propozycję, Michał wspierał mnie, doradzał, przekonywał, że powinnam zagrać.

– Nigdy nie był zazdrosny?

Nigdy. Zazdrości nie da się ukryć. Ale na pewno bolało go,

NOWY prosty sposób na nawilżenie skóry stóp

Nowa nawilżająca pianka marki Scholl to przełom w pielęgnacji stóp. Nawilża skórę stóp tak intensywnie jak kremy, a jest w postaci lekkiej i łatwej w użyciu pianki.

- Zmniejsza i nawilża suchą, twardą skórę stóp
- Chroni skórę stóp przed wysuszeniem i pękaniem
- Zapewnia długotrwały efekt nawilżenia
- Szybko się wchłania i nie pozostawia tłustej warstwy na skórze

Nawilżenie skóry stóp jeszcze nigdy nie było tak proste!

Scholl

Skóra i nogi. Dobre są zawsze razem. Scholl. Nawilżenie skóry stóp. Scholl.

je 1 maja”, a 17 maja Michał oświadczył mi się. Kilka lat wcześniej kolega przygotował mi horoskop astrologiczny. Ustalił, że ważną datą w moim życiu będzie właśnie siedemnastka, co miało oznaczać szczęście rodzinne. Z horoskopu wynikało, że związę się z człowiekiem, który będzie pracował w słowie. Ja zaklinałam się, że nie wyjdę za mąż za aktora i na pewno nie za bruneta. W tym czasie moim adoratorem był obiecujący adwokat, więc byłam pewna, że chodzi o niego. Poza tym nie gustowałam w brunetach. Michał był aktorem z mojego teatru, na dodatek o kruczoczarnych włosach... (śmiech).

– Ale Wasz ślub przez ponad miesiąc utrzymywaliście w wielkiej tajemnicy. Jeździliście nawet do do-

– Żyta Pani rozdarła między domem a sceną?

Nigdy.

– Ale Pani koleżanki po fachu boją się przerwy w zawodzie, deformacji sylwetki, utraty ciekawych propozycji... Wiele aktorek z Pani pokolenia jest bezdzietnych.

Wszystko to prawda, ale ten zawód nie polega na pięknej sylwetce. Przerwa na macierzyństwo też jest naturalna, bo daje fantastyczny dystans do tego, co robimy. Z synkiem siedziałam w domu prawie rok, osiem miesięcy karmiłam piersią i niczego nie straciłam. Oczywiście jak pianista musiałam po przerwie rozćwiczyć się, ale ja pilnuję się całe życie. Ćwiczę wokalizę, kontroluję wagę, gimnastykuję się codziennie, ćwiczę jogę. Tamta przerwa to naprawdę nie

Nie, żadnego poczucia winy. Mój zawód dawał mi sporo swobody w ciągu dnia. Byłam też mocno zdyscyplinowana, wtedy w ogóle nie marnowało się czasu, życie było nasycone, intensywne. Po śmierci mamy znalazłam opiekunkę dla Piotrusia – panią Józefę, która przed wojną pracowała w arystokratycznych domach. Natychmiast wytresowała nie tylko naszego syna, ale nas. Momentalnie ustawiła cały dom. Umowa była taka: życzy sobie, żeby pięcioletek miał załatwiony karnet do filharmonii na cotygodniowe koncerty dla dzieci. Poprosiła nas, żeby co poniedziałek na wieszaczkach wisiało siedem czystych, uprasowanych koszul dla Piotrusia. Co się działo przy stole, już nie wspomnę, nie istniało dla niani słowo „nie”.

gdy pytano go w wywiadach, czy nie czuje się mężem swojej żony. Na szczęście Michała świat poza zawodem wypełniała miłość ojca, bo był genialnym ojcem. Czułym, nadzwyczajnym, bardzo ciepłym, zaangażowanym.

– W jednym z wywiadów powiedziała Pani: „To małżeństwo dało mi tak wiele, a mąż znał mnie lepiej niż ja siebie”.

To była wielka siła mojego życia. Nasze szczęście trwało 16 lat. Mąż zginął tragicznie w listopadzie 1969 roku. Jechał samochodem mostem Gdańskim, dostał zawału serca. Gdyby to się wydarzyło w domu, teatrze... a nie za kierownicą. Lekarze mówili mi potem, że im człowiek młodszy, tym ma mniejsze szanse na odratowanie.

– Świat się Pani rozsywał?

W charakteryzacji do jubileuszowego monodramu „Błękitny diabeł” w reżyserii Józefa Opalskiego, 2006. Spektakl będzie można zobaczyć na scenach w wielu polskich miastach.

„Kilka dni przed ślubem zauważyłam, że Michał ma oderwany guzik przy koszuli. To było tuż przed spektaklem. Podał mi guzik i nitkę. Gdy przyszyłam, powiedział: »Chciałem, żebyś się do mnie przyszyła«. Tuż przed zaręczynami w Los Angeles Arnold podał mi rękaw koszuli i poprosił o przyszywanie guzika. Reinkarnacja?”

Nie, ja nie użyłabym takiego słowa, bo wszystko zostało, tylko jego zabrakło. Życie musiało toczyć się dalej. Ratunkiem psychicznym byli przyjaciele. I praca. To ona była największym lekarstwem. I błogosławieństwem. Po miesiącu odstawiłam leki uspokajające, bo byłam w próbach do „Play Strindberg” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Grałam z Łomnickim, który był nadzwyczaj wymagający. Kręciliśmy też „Czterech pancernych”. Śmieję się, pajacu znów się we mnie odezwało. Roześmiana Honorata przeżywała osobisty dramat, a musiała grać. W tym zawodzie, obok szczęścia i radości, są łzy i rozpacz. Od zawsze.

– Gdy zginął mąż, pomyślała Pani, że to jest ta cena za sławę, popularność, że los albo Bóg mówi: nie można mieć wszystkiego?

Nigdy tak nie myślałam.

– A myślała Pani: „Dlaczego to spotkało właśnie mnie”?

Tak, ale to dotarło do mnie później, że znów pojawiła się ta siedemnastka. Właśnie wchodziliśmy w 17. rok naszego małżeństwa. Później kolejnych 17 lat byłam sama. I coraz częściej myślałam o ucieczce.

– Co ma Pani na myśli?

Całe lata nie myślałam o ułożeniu sobie życia. Tragedia była we mnie wciąż za świeża. Wychowywałam dorastającego syna, grałam. Na początku lat 80. pochłonęła mnie polityka. Przemiany, „Solidarność”. Oczywiście przeżywałam przelotne miłości, z pewnością ważne, zapamiętane, ale dopiero wtedy, gdy syn się ożenił, pomyślałam, że czas zacząć budować własny los. Czułam

zresztą, że Piotr będzie spokojniejszy, gdy matka ułoży sobie życie.

– I nagle przychodzi rok 1983. Dostaje Pani propozycję zagrania głównej roli w „Matce” Witkacego w Los Angeles. Sztuki w języku angielskim – języku, którego Pani nie знаła...

Tak. Leonidas Dudarew-Ossetyński, który w Los Angeles prowadził swoje prywatne studium aktorskie, wymyślił, że zagram główną rolę po angielsku. Myślałam, że to pomyłka, ale podjęłam ryzyko. Była to benedyktyńska robota, bo przez osiem miesięcy nauczyłam się trudnej roli na pamięć tylko fonetycznie, korzystając z angielskiego nagrania z taśmy. Trudność polegała na tym, że trzeba było jeszcze tę rolę zinterpretować i dołożyć styl witkacowski. Moją bronią i siłą był mój warsztat. A eksperyment wpisywał się zawsze w moje życie.

– Dawała Pani też recitale. Podczas jednego z nich wypatrzył Panią dyrektor International Institut w San Francisco, Amerykanin Arnold Seidner. To było uczucie od pierwszego wejrzenia?

(Śmiech). Tak, to była wielka miłość. Porozumieliśmy się od pierwszego spotkania, choć on nie znał słowa po polsku, a ja tylko angielskie archaizmy ze sztuki Witkacego. Wierzę, że wszystko jest zapisane w górze.

– Skąd Pani wiedziała, że to jest ten człowiek, z którym chce Pani spędzić resztę życia?

Arnold miał mnóstwo wspólnych cech z Michałem. Był tak samo ekstrawertyczny, towarzyski, kochał lu-

dzi, miał mnóstwo znajomych. Wszystko, co robił, przypominało mi Michała. Kilka dni przed ślubem zauważyłam, że Michał ma oderwany guzik przy koszuli. To było tuż przed spektaklem. Podał mi guzik i nitkę. Gdy przyszyłam, powiedział do mnie: „Chciałem, żebyś się do mnie przyszyła”. Tuż przed zaręczynami w Los Angeles Arnold podał mi rękaw koszuli i poprosił o przyszywanie guzika. Potem powiedział mi, że był to egzamin na żonę. Reinkarnacja?

– Po ślubie mieliście mnóstwo planów?

Tak, chcieliśmy występować z dwujęzycznym recitalem. Mój mąż miał wdzięk, czar i szarm Maurice’a Chevaliera, a poza tym był... jak to się mówi? Ciężko przystojny... (śmiech).

– Pięć miesięcy po ślubie mąż zmarł na zawał serca. Można uodpornić się na cierpienie?

Nie można (cisza). Znów dostałam ogromną pomoc otoczenia, przyjaciół. Muszę pani powiedzieć, że właśnie w takich momentach praca jest największym błogosławieństwem. Miałam 55 lat, zapisałam się do szkoły językowej. Spędzałam w niej całe dni. Poznałam mnóstwo ciekawych ludzi, którzy pochodzili z różnych kontynentów i też przeżywali własne dramaty. To była lekcja pokory, lek na ból i próżnię, w którą wpadłam.

– Powiedziała Pani kiedyś: „Śmierć Arnolda to był dla mnie nokaut”.

Tak, absolutny nokaut psychiczny. Próbowalam się jakoś ratować. Z San Francisco, gdzie zamieszka-

liśmy z mężem, przeniosłam się do Los Angeles. Grałam w polonijnym teatrze, zaczęłam uczyć młodych aktorów, wyreżyserowałam „Kram z piosenkami” Schillera.

– Ponad 10 lat mieszkała Pani w Ameryce. Przez kolejne 10 podróżowała Pani między Warszawą a Los Angeles. Wróciła już Pani na dobre, czy wciąż jest Pani w podróży?

Wróciłam całkiem niedawno, nawet przywoziłam ponad 16 skrzyń tak zwanego mienia przesiedleńczego. Bardzo źle znoszę zimę, dlatego nadal, ale tylko na zimę, uciekam do Kalifornii. Teraz też już myślę o odlocie.

– Syn nie został aktorem?

Nie, zdawał nawet do Akademii Teatralnej, ale po pierwszej porażce zrezygnował. Jest informatykiem, mieszka z rodziną w Montrealu, w Kanadzie. Mój wnuk Michał, 22-latek, studiuje prawo, specjalność kryminologia. Synową, wnuka widzę częściej, bo wpadają do Polski, syna nie widziałam już 6 albo 7 lat. Ma szalenie odpowiedzialną pracę, trudno mu się wyrwać. Ale rozmawiamy telefonicznie, kolega nagrał mu mój jubileusz, za godzinę obejrzał to już w swoim komputerze. Ale to fascynujące!

– O Pani można powiedzieć: Nie trzeba robić wokół siebie wrzawy ani krzykiem egzekwować norm. Trzeba być tych norm uosobieniem. To miłe, dziękuję, że pani to mówi. Tyle dobra mnie spotyka każdego dnia. „Trzeba być pokornym wobec losu”, mówił nam Iwo Gall. Tak już musi być.

Rozmawiała MONIKA STUKONIS